

Wychodzi co niedzielę jako bezpłatny dodatek do dziennika »Głos Narodu«.



Przedpłata na sam »Głos literacki i społeczny« wynosi rocznie 8 koron, półrocznie 4 korony, kwartalnie 2 korony.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI.

Nr. 4. Kraków, dnia 27. stycznia. 1901.

Nowi dostojnicy kościelni w Galicyi.



Ks. Józef Sebastyan Pelczar,
nowomianowany biskup przemyski.

NA CZASIE.

(Porachunki tygodniowe).

Jesteśmy w pełni karnawału. Na każdym rogu ulicy błyszczą z kiepska secesyjne plakaty, obwieszczające wszem w obec i każdemu z osobna, że dnia tego a tego, w tej a w tej sali, przemysłowcy, lekarze, kelnerzy, akademicy, straż skarbowa, prawnicy, sądowcy i inne dykasterye, w które obfituje nasza na wskróś zurzędniczona Galileja, będą składali hołd nadobnej Terpsychorze.

Pogłoski o nędzy galicyjskiej są zatem, jak się pokazuje, wierutnym fałszem. Wystarczy pójść na pierwszy lepszy wieczorek, aby się przekonać że jedwabna suknia jest koniecznem uzupełnieniem każdej ładnej figurki w naszym grodzie, niemal bez różnicy stanu i dochodów tego, który za te jedwabie płaci, (zwykle ojca lub męża). Skądże zatem biorą się deklamacye o licho płatnych urzędnikach, o zastoju w przemyśle i handlu, kto śmie zżymać się na »ciężkie czasy« skoro szelest jedwabi przeczy tym potwarzom, ciskanym na nasze społeczeństwo? Sprowadźcie mi tu państwo jakiego Anglika lub Niemca, dajcie mu ujrzeć jeden i drugi bal, pokażcie dziesiątki ogłoszeń o zabawach, które się odbywają, odbędą, albo już się odbyły, a ręczę, że bez wahania powie:

— Goddam! (albo: Hol's der Teufel!) Kraków, to istny raj ziemski!

Niemniej trudno mi pojąć, jak mogą ludzie złej woli narzekać na lenistwo i ospałość naszego społeczeństwa? Czyż osobniki pełniące po całych nocach ciężką służbę wywijania nogami, kręcenia się w kółko lub skakania niemal pod sufit, mogą być zaliczone do leniwych? Jak pogodzić zarzut ospalstwa z tem, że np. Fonsio Kręcicki, mój dobry znajomy, przetańczył już sześć nocy z rzędu, pozwalając sobie ledwie na parugodzinną drzemkę, w dzień, przy urzędowem biurku?!

A przysłowiowa polska niechęć do mrówczej, systematycznej pracy? Bajki, proszę mi wierzyć! Niechno kto przysłucha się dyskusyi, toczonej na posiedzeniu komitetu balowego nad kwestyą karnecików lub tez kotylionowych. Co za powaga w traktowaniu tak ważnych kwestyj! Jak tam ścierają się zdania, jak każdej drobnostce poświęca się należytą uwagę! Żadna sesya parlamentarna za najlepszych czasów austryackiej Rady państwa nie odznaczała się tak poważnym nastrojem, jak ten, który teraz ożywia grono ludzi pracujących dla zabawienia jednych, a poratowania drugich bliźnich.

Bo trzeba państwu wiedzieć, że ci na pozór lekkomyślni i rozrzutni fikalscy i fikalskie, nawet wśród ochoczej zabawy nie tracą z oczu wzniosłych, idealnych porywów! Wszystkie stany łączą się pod pstrym sztandarem karnawału, aby nieść pomoc biednym. Od Sylwestra do Środy popielcowej Galicya zna tylko dwie klasy ludzi: tych którzy tańczą i tych dla których się tańczy. Wszak od każdej pary nóg sunących po szklistej posadzce, dobroczynność pobiera swoje kopytkowe; »czysty dochód« z każdego niemal balu idzie na jakiś »cel«. I jakże tu prawić morały na temat zmateryalizowania społeczeństwa?

Co prawdą, krążą wieści, iż atrament zużywany na spisywanie »kosztów urządzenia« tak zabrudza owe dochody, iż po dokładnem »oczyszczeniu« przedstawiają się one więcej niż skromnie, ale czyja w tem wina? Pewnie nie aranżerów zabawy. Bo i cóż to by był za komitet balowy bez papierów i kopert firmowych, drukowanych secesyjnemi czcionkami na angielskim szarpanym papierze? Czy rozfikani dobroczyńcy mogliby się zgodzić na świadczenie wesołego miłosierdzia w sali nie zamienionej na ogród pełen kwiecia lub namiot turecki?

Przecież wszystko ma swoje granice, nawet... poświęcenie dla dobra cierpiącej głód i chłód ludzkości.

Warszawa jest obecnie widownią ciekawej walki dwóch pism codziennych o — prenumeratorów! Ilość gazet wychodzących w syrenim grodzie zmusza poszczególne organy opinii publicznej do współzawodnictwa między sobą przez ofiarowywanie abonentom różnych premij, dodatków książkowych itp. lecz, że każdy bój musi się rozstrzygnąć porażką jednej a zwycięstwem drugiej strony, przeto pisma zdystansowane w tym wyścigu o nagrodę pieniężną, zaczynają mścić się na szczęśliwych rywalach w sposób nader nieprzyzwoity.

I tak, organ warszawskich ugodowców, »Słowo«, widząc, że »dodatki« »Gazety Polskiej« zjednały temu pismu pewną ilość abonentów, poczęło bez ceremonii wymyślać konkurentce, iż jest niedołężnie redagowana, że pomieszcza same przedruki z innych dzienników itd. itd.

Takie prowadzenie walki rzuca na prasę warszawską cień niemały.

Bój o zasady jest rzeczą całkiem naturalną, a nawet można go zaliczyć do zjawisk, wróżących dobrze o rozwoju społeczeństwa, lecz dwa pisma zarzucające sobie nawzajem złe prowadzenie działu redakcyjnego, celem odstraszenia względnie zwabienia prenumeratorów, smutny przejaw walki o pieniądze, w najordynarniejszej jej formie.

Prasa galicyjska nie grzeszy zbytnią kurtoazyą, pewna jej część posługuje się nawet środkami o wprost ohydnym zakroju, jeżeli chodzi o unicestwienie przeciwnika, lecz tak trywialnego, tak handlarskiego darcia się o marny grosz, jeszcze u nas nie było, i, miejmy nadzieję, nie będzie.

— Moje uszanowanie panu nadradcy!

— Sługa, sługa najniższy!

— Czy mogę prosić o chwilkę rozmowy?

— Przepraszam, przepraszam najmocniej szanownego pana, ale nie mam czasu, spieszę się bardzo...

— A dokądże, jeśli wolno spytać?

— Do biura, kochany panie Janie, do biura, tam nie czekają, trzeba się pilnować godzin...

Zdziwiłem się niewymownie.

— Przecież pan nadradca podobno już przeszedł w stan spoczynku! Tak przynajmniej słyszałem? Pensyjka jak się zdaje, nie zła a i dziatki pracują same na siebie, więc chyba nie potrzeba zmusza pana do pracy na stare lata?

Mój nadradca uśmiechnął się i odpowiedział:

— No, dla pieniędzy tam się nie robi, choć i te trzydzieści guldenów...

— Trzydzieści?!!?

— Mam miejsce dyetaryusza w banku, trudno, odrazu dyrektorem mnie nie zrobią — dodał, śmiejąc się jowialnie — grunt w tem, że potrzebuję koniecznie jakiegoś zajęcia. Harował człowiek tyle lat przy biurku, przywykł chodzić jak wół w jarzmie, to teraz jakoś mu smutno, gdy wstawszy zrana, ma przed sobą cały długi dzień który trzeba przepróżnować. I myśli jakieś smutne opadają zaraz człowieka, bo choć niby ze zdrowiem jako tako, ale zawsze szósty krzyżyk na karku, więc rozumie pan...

W tej chwili przez turkot wozów przedarły się jasne dźwięki hejnału z wieży Maryackiej.

— Mój Boże! — wykrzyknął staruszek — ja tu gadam w najlepsze a mój szef pewnie już zły! Do widzenia kochanemu panu, proszę się kłaniać żonie, do widzenia!

I znikł w ulicy Grodzkiej, a ja, idąc dalej starałem się zliczyć w duchu wszystkich kolegów wszechnicy, którzy przebiedowawszy parę miesięcy, czasem rok lub półtora o chlebie i wodzie, musieli dać za wygraną studyom uniwersyteckim i wstąpić do jakiegoś urzędu na »manipułów«, bo nie mieli się z czego utrzymać. Trzydzieści reńskich, toć to majątek dla głodnego aspiranta do laurów adwokackich lub złotego kołnierza, to pas ratunkowy do utrzymania się na powierzchni życia przez czas kilkoletniej nauki. Kto wie, czy jeden lub drugi młodzieniec, zmuszony nędzą do opuszczenia uniwersytetu, nie byłby się stał chlubą kraju, świecznikiem społeczeństwa, które go wydało, gdyby nie to, iż kwota potrzebna mu na utrzymanie, wpływała do kieszeni takiego pana nadradcy?

„PSUBRATY".

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy).

Finländerowej zaiskrzyły się oczy. Nagłym ruchem rzuciła się do biurka i otworzywszy szufladę, wyjęła z niej papier pożółkły.

— Testament Simchy? — zawołała. — Ja każde tego testamentu słowo na pamięć umiem! On jest wielkim drogowskazem mojego życia! To jest mój pacierz co rano i co wieczór! Ja go na klęczkach czytam!

Spitzbart słuchał słów Finländerowej z rosnącem zdumieniem. Kiedy zaś podała mu drżącą ze wzruszenia ręką testament Simchy, nie mógł się powstrzymać od pytania:

— Więc naprawdę — pani pamiętasz o tym testamencie? Cóż więc znaczy wszystko to, co pani robisz?

— Co znaczy? Pan się pytasz, co znaczy? Czy pan nie czujesz, czy pan nie widzisz, co się dziś dzieje w tem mieście, co się niebawem dziać będzie w całym tym kraju? Czytaj pan testament Simchy, a zrozumiesz dobrze, co to znaczy! Nie upłynie kilka lat, a nasz wielki tryumf będzie plonem tego posiewu, który uczyniły pieniądze Simchy Bukszpana.

— Dlaczegóż więc pani pozbywała się pomocy Müllera?

Brwi Czarotyńskiej zmarszczyły się. Wzruszyła ramionami.

— Nie mogłam nigdy zrozumieć w jakim celu Simche uczynił Müllera współwykonawcą testamentu. Być może, że tak było jak pan mówi: nie ufał mi zupełnie, a za to ufał nienawiści Müllera do tego kraju. Ja jednak ufałam sobie najzupełniej i nabrałam silnego przekonania, że Müller na razie mógł mi być tylko przeszkodą do urzeczywistnienia celów Simchego. Obliczyłam, że taniej nawet będzie okupić pół milionem pozbycie się tej przeszkody. Zresztą Müller tych pieniędzy nie zmarnuje, w jego rękach pomnożą się znacznie. Zawsze będzie czas zaapelować do jego nienawiści, wtedy, kiedy współdziałanie jego będzie mogło być korzystne. Czy zrozumiałeś mnie pan teraz?

Spitzbart nic nie odpowiadział. Siadł przy oknie i zagłębił się w czytaniu testamentu. Sali Windstern zaglądała mu przez ramię, niebawem jednak obróciła się na pięcie, i usiadłszy przy fortepianie poczęła wygrywać melodye śpiewanych niegdyś przez siebie operetek i nucić półgłosam. Finländerowa stała oparta o biurko i nie spuszczała wzroku z Spitzbarta.

Spitzbart czytał długo ze świecącemi oczyma; przeczytawszy, wstał, oddał testament księżnej, i rzekł:

— Pani, jestem odtąd na twoje usługi. Proszę mną rozporządzać. Gdyby pieniądze, które zabrałem, były pani do czegokolwiek potrzebne, jestem w każdej chwili gotowy oddać je, o ile będę mógł, napowrót do pani dyspozycyi.

Księżna Czarotyńska uścisnęła rękę Spitzbarta uśmiechając się radośnie. Sali przestała grać i wzruszyła ramionami.

— Opowiedzcież mi państwo łaskawie, co jest w tym sławnym testamencie — zawołała, wstając od fortepianu.

— W tym testamencie jest przyszłość nasza, jest nasze bogactwo, nasze znaczenie, nasza potęga. Nie byłabyś żydówką Sali, żebyś nie ukorzyła się przed wolą tego patryarchy, który do nas z za grobu mówi słowami proroka i wskazuje nam ścieżki życia...

— Co za styl patetyczny! Adolf, ja ciebie niepoznaję! Mów mniej górnie a za to więcej zrozumiale. Czegóż chce od pani Finländerowej ten stary Bukszpan?

— On jej przykazuje, aby się stała drugą Judytą, która odetnie holofernesową głowę naszych nieprzyjaciół! On jej przykazuje, aby weszła do namiotów wroga, aby upoiła go rozkoszą i trunkiem i przygotowywała zwycięstwo dla nas, jak tamta dla pognębionych mieszkańców Betulii...

— Odkąd ty rabinem, Adolf, został? Gdzie jest ten Holofernes i gdzie ci pognębieni mieszkańcy Betulii? Ja przynajmniej nie czuję się pognębiona, a także nie widzę pognębienia ani twojego, ani pani Finländerowej...

Adolf Spitzbart żachnął się niecierpliwie i zawołał:

— Ty Sali jesteś piękną kobietą, u której stóp tarzają się najpierwsi z pomiędzy gojmów. Więc ty nie czujesz poniżenia i pogardy, jakiej na każdym kroku doznają wszędzie w Europie żydzi. Gdyby nie pieniądze, któremi się wkupujemy do społeczeństw europejskich i któremi zdobywamy sobie wpływ na ludzi i wypadki, stalibyśmy się oddawna niewolnikami, wyzutymi ze wszystkich praw, pozbawionymi godności ludzkiej. Z każdym dniem położenie nasze jest trudniejsze; w miarę jak zyskujemy zwolna tę pełnię praw i znaczenia, jaka nam, jako ludowi wybranemu, według porządku świata się należy, tem więcej, rośnie przeciw żydom nienawiść, tem jawniej wrogie dla żydów uczucie staje się hasłem, pod którem społeczeństwa skupiają się do zapamiętałej przeciwko nam obrony! Jeżeli stary Simche na wstępie swego testamentu porównywuje żydów dzisiejszych do mieszkańców Betulii, którym odcięto wodę i którzy, aby nie zginąć i nie popaść w ręce nieprzyjaciół, ostatnią mają chwilę, aby szukać Judyty, co im do zwycięstwa i zebrania łupów dopomoże — to ten starzec mówił duchem proroków Izraela, którzy weń wstąpili.

— Więc pani Finländer uciąć ma głowę księciu Czarotyńskiemu i żydom będzie na świecie dobrze? Mnie się zdaje, że wam się w głowach poprzewracało...

— O świat tu nie idzie! Jeden człowiek całemu światu nie poradzi. Niech żydzi, którzy osiedli we Francyi i w Niemczech sami się o swoją dolę troszczą. Oni mają u siebie bogaczów, którzy nie żałują złota na walkę z nebukadnezarskiem plemieniem; oni mają potężne tajne organizacye polityczne i religijne, które już zapuściły głębokie korzenie w życie tamtych społeczeństw.

(C. d. n.).



Tęsknota za systematyczną pracą, smutne myśli o bliskim końcu, nasuwające się emerytom, usuniętym z dotychczasowego pola działania, potrzeba jakiegoś zajęcia, spowodowana tyloletniem przyzwyczajeniem, to wszystko prawda. Czy jednak nie ma już żadnych zakładów użyteczności publicznej, żadnych czytelń ludowych, lub bezpłatnych wypożyczalni, w którychby mogli tacy emeryci znaleść łatwe, nie męczące a systematyczne zajęcie, przyczyniając się swoją pracą do dobra publicznego? Wprawdzie za funkcye tam spełniane nie pobiera się żadnej płacy, lecz trudno chyba rzucać podejrzenie na człowieka wyposażonego parotysięczną emeryturą, że mu chodzi o trzydzieści lub choćby pięćdziesiąt reńskich na miesiąc! Społeczeństwo zyska na tem podwójnie: raz przez to, że instytucyom obsługiwanym dotąd wyłącznie przez młodzież uczącą się lub rzemieślniczą, przybędzie do pracy sporo sił dobrych, powtóre, na opróżnione przez emerytów miejsca w bankach, urzędach etc. dostaną się młodzi ludzie potrzebujący funduszów na kończenie nauk.

A jeśliby taka praca o jakiej mówię nie mogła znaleźć uznania w oczach panów emerytów, to jest rada i na to.

Niech poprostu panowie spensyonowani radcy, nadradcy, komisarze czy inspektorowie, zamiast chować do kieszeni swoje dyurna, składają je co pierwszego jako stypendyum dla biednych uczniów gimnazyalnych lub słuchaczy uniwersytetu, zachowując sobie przy rozdawnictwie zapomóg głos decydujący.

Będzie to pięknym dowodem, iż nie pragną grosza, tylko pracy, do której przez całe życie się przyzwyczaili, dziesiątki, ba, setki ludzi będą błogosławić ich pamięć, a całe społeczeństwo odnajdzie zasługę i poświęcenie tam, gdzie dotąd widzi tylko sobkostwo i nieszczęsną chęć zdobycia pieniędzy.

Pertinax.

LUCYAN RYDEL.

Z nowego tomu poezyj.

Gdy zostaniemy sami
I patrzę na Jadwisię,
To myślę tak czasami,
Że baśń mi dawna śni się

Że to z Rusałek jedna,
Nadludzki dziw urody,
Co do mnie przyszła ze dna
Zaklętej leśnej wody;

Rzuciła potajemnie
Odludne uroczysko
I rozkochana we mnie
Usiadła przy mnie blisko.

Rzuciła dziwów kraje,
Gdzie rosną złote drzewa
I dzwonią całe gaje,
Gdy liśćmi wiatr powiewa.

Rzuciła cudów światy
Za ludzką miłość moją,
Gdzie śpiewające kwiaty
W tęczowym blasku stoją...

Gadają ludzie starzy,
Że padnie trupem śmiałek,
Który się spojrzyć waży
W czarowny wzrok Rusałek

Niech zaraz śmiercią zasnę
Na miejscu niech zostanę,
Lecz patrzeć chcę w twe jasne
Oczęta rusałczane...

Od Krakowa czarny las,
Nad tym lasem tęczy pas —
Ona tam daleko
Gdzieś za siódmą rzeką,
Lecz Bóg tęczą związał nas.

Z kolorowych siedmiu smug
Most przez niebo zrobił Bóg:
Po tęczowym moście
Aniołowie, noście
Serce moje do jej nóg.

Niziny 1900.

Zagrajcież jej grajkowie,
Bo już wyszła z komory —
Wyszła z wieńcem na głowie
Ta jedyna, kochana
Błyszczą na niej ubiory,
Błyszczy na niej katana
W srebrne listki utkana.

Zagrajcież jej grajkowie,
Bo już wyszła z komory —
Jak królewska korona
Z kwiatów złotych pleciona,
Tak wieniec na jej głowie,
A z wieńca na ramiona
Biją wstążek kolory;

Zagrajcież jej grajkowie,
Bo już wyszła z komory —
Niech mi teraz kto powie,
Czy jest w całym Krakowie,
Czy jest na całej ziemi
Rozkoszniejsza uroda
I z oczami słodszemi?

Zagrajcież jej grajkowie,
Bo idzie panna młoda!

Z wiankiem złotym na czole
Siadła sobie przy stole
A ja po drugiej stronie;
Ręką zakryła oczy,
Przez palce łza się toczy
I twarz jej biała płonie.

Prawą rękę mi daje
A matusia chleb kraje,
Niesie wodę święconą...
— O co płaczesz, jedyna
Że już idzie godzina,
Gdy będziesz moją żoną?!

— »Niech wam się w życiu darzy«
Mówią rodzice starzy,
Ręce z bochenkiem chleba
Wiążą chustką ponsową,
Krzyż nam robią nad głową:
— »Bóg wam błogosław z nieba!«

Nie płacz Jadwiś, panno młoda
Otrzej oczy, łez twych szkoda.
Słońce wyszło ze mgły bladej
Złoci się pogoda:
To znak dobrej wróżby!
Na wóz siadły już sąsiady,
Na koń siedli drużby:
Rży pod jednym klacza siwa
A pod drugim źrebiec gniady
Do biegu się zrywa. —

Droga się przez pola ściele,
Drogą jedzie w cwał wesele
A drużbowie rwą z kopyta
Przed nami na czele;
U czapki czerwonej
Miga się im pawia kita
I bukiet złocony,
Dzwonki brzęczą u wędzidła
Z ramion chustka w kwiatki szyta
Wiewa, jako skrzydła.

Wóz za wozem pędem wali
W blaskach wstążek, chust, korali —
Śmiechy, śpiewki, grzmi muzyka
W żyłach krew się pali,
Twarze wicher chłodzi;
A pierwszy nasz wóz pomyka:
Przodem państwo młodzi!...
Ale co nam weselisko —
Dla nas niebo się odmyka,
Bo już ołtarz blisko!

ZEMSTA

humoreska z rosyjskiego.

Turmanow, dobrze już podtatusiały hreczkosiej miał ładny mająteczek, młodą żonę i wspaniałą łysinę i był właśnie owego wieczoru na kartach u jednego ze swoich licznych znajomych.

Przegrawszy okrągłą sumkę, poczuł, że mu zasycha w gardle i wyszedł aby kropnąć sobie kieliszeczek czegoś pokrzepiającego. Balansując między stolikami dostał się do salonu, przewinął się szczęśliwie między tańczącą młodzieżą i za chwilę wylądował szczęśliwie w jadalnym pokoju, gdzie na okrągłym stoliku jaśniała cała bateria flaszek i karafinek z rożnokolorowemi płynami.

Turmanow nalał sobie kieliszek „smirnówki" zrobił parę gestów rękami, jak gdyby miał wypowiedzieć toast i wreszcie przelał zawartość kieliszka do swych wnętrzności. Potem, skrzywiwszy się nieco chwycił za widelec, nadział kawałek śledzia i...

W tejże chwili do uszu jego doszła jakaś rozmowa, tocząca się za drzwiami.

— Dobrze, dobrze... — mówił jakiś głos kobiecy — lecz kiedy?

— To moja żona — z kimże ona gada?

— Kiedy zechcesz, duszyczko — odpowiedział za drzwiami niski dźwięczny bas. — Dziś już chyba nic z tego, jutro zaś jestem cały dzień tak zajęty...

— To Degtarew! — Basowy timbre głosu zdradził Turmanowowi osobę mówiącego. — Więc i ty „Brutusie"! Już ciebie złowiła? Cóż to za straszna kobieta! Dnia jednego nie wytrzyma bez romansiku.

— Tak, tak, jutro mam bardzo wiele zajęcia — ciągnął dalej ów basista. — Jeżeli znajdziesz chwilę czasu, napisz do mnie jutro słów parę... Musimy jednak uregulować jakoś naszą korespondencyę. Trzeba wynaleźć jakiś dobry sposób na przesyłanie listów. Z pocztą to dość niebezpieczna historya, cóżbyśmy zrobili, gdyby ten stary indyk, twój czcigodny małżonek, złapał jakiś nasz bilecik? Przypuśćmy zaś, że list twój przychodzi podczas gdy mnie w domu nie ma; czy myślisz, że moja żona nie otworzy go w tej chwili?

— Cóż zatem począć?

— Trzeba koniecznie coś wymyśleć. Służącym trudno się zwierzać, zresztą twój stary kundel trzyma zapewne służbę dobrze w garści... Grywa on w karty?

— Tak, ale wyobraź sobie, bałwan przegrywa wszystko.

— Kto nie ma szczęścia w kartach... — zaśmiał się Degtarew. — Czekaj, już coś mam. Jutro o szóstej popołudniu wychodzę z biura i idę do parku, gdzie mam się spotkać z inspektorem. Staraj się za tem moja gołąbko, aby twój liścik był przed szóstą, ani sekundy później, w marmurowej wazie na lewo od altany. Wiesz już gdzie, nieprawda?

— Wiem, wiem.

— To będzie poetycznie, niezwykle i tajemniczo!... Ani twój brzuchacz, ani moja połowica nic nie zwąchają. Czyś mnie zrozumiała?

Turmanow, osądziwszy, że już się dość nasłuchał, golnął sobie jeszcze jeden kieliszek i wrócił do gry. Odkrycie dopiero co uczynione nic a nic go nie wzruszyło. Czasy, w których podobna rzecz działała mu na nerwy i była powodem scen zazdrości, krzyku, i wymyślania — dawno już minęły. Pogodził się zupełnie z losem i przywykł patrzeć przez palce na miłosne awanturki swej żony. Lecz przydomki, w rodzaju „indyka", „kundysa" i „brzuchacza", które obecnie miał sposobność posłyszeć, zbyt były wyraziste, aby nie dotknąć go w poczuciu godności własnej.

— Cóż to za kanalia z tego Degtarewa — mruczał, zapisując na zielonem suknie przegraną kwotę. — W oczy traktuje mnie tak grzecznie, a przed żoną daje mi takie ładne przezwiska... No, no, no, tegom się po nim nie spodziewał...

Im częściej Turmanow był zmuszony wciągać do swego konta nową przegraną, tem więcej przygniatały go dopiero co posłyszane obelgi...

— Żółtodziób! smarkacz! — myślał sobie, kipiąc z wściekłości. — A ty błaźnie jeden! Ciesz się, że nie chcę nic mieć z tobą do czynienia, bo wtedy jużbym ci zapłacił za indyka i za kundla!

Podczas kolacyi Turmanow nie mógł poprostu znieść widoku swego przyjaciela, który jak na kpiny obarczał go pytaniami o szczęście przy kartach. Co więcej, Degtarew był na tyle bezczelnym, iż robił żonie wyrzuty, że za mało dba o zdrowie męża. Nadieżda najniewinniej w świecie spojrzała na swego pana i władcę, rozmawiając przytem tak swobodnie, jak gdyby nic nie zaszło, ani też zajść nie miało. Sam dyabel nie zdołałby odgadnąć, że jest niewierną.

Humor, w jakim znajdował się Turmanow po powrocie do domu, nie należał bynajmniej do najlepszych. Może być, że w innych okolicznościach byłby już zapomniał o wszystkiem,

lecz ciągła paplanina żony i jej wieczny uśmiech, nasuwały mu ustawicznie na myśl brzuchacza, indyka, kundysa i inne pieszczotliwe wyrazy, słyszane w ciągu wieczora.

— Ten Degtarew zasłużył na spoliczkowanie go — myślał nieszczęsny małżonek — powinno się go publicznie wyłoić.

I rozważał, co byłoby lepszem: czy wygarbować zdrajcy skórę, czy zastrzelić go jak wróbla, czy też... włożyć w marmurową wazę coś nieprzyzwoitego, obrzydliwego i cuchnącego np. zdechłego kota lub szczura. Dobrzeby też było ukraść żonie bilet wizytowy i napisać na nim jakieś trywialne wiersze z podpisem „Twoja Akulka“, lub coś podobnego.

na myśl o strachu Degtarewa, skoro tenże dostanie się w pułapkę.

Za nadejściem szóstej nie mógł już dłużej wytrzymać i popędził prosto do parku by napaść wzrok haniebną przygodą rywala. Po drodze spotkał policyanta, co go napoiło niezmierną radością.

Znalazłszy się przy altance schował się za krzakiem, nie spuszczając wazy z oka. Ciekawość jego rosła z każdą chwilą.

Wybiła szósta godzina, a z ostatniem jej uderzeniem pojawił się Degtarew, sądząc po minie, pełen humoru i zadowolenia ze siebie. Cylinder miał zsunięty na tył głowy, z pod rozpiętego paltota wyglądała mu jasna kamizelka, a od czasu

Ku czci wieszcza.



Pomnik Mickiewicza w Tarnowie dłuta Błotnickiego.

Turmanow chodził po sypialni wielkiemi krokami, rozweselając się układaniem takich planów. Nagle stanął i palnął się ręką w czoło.

— Już mam! Doskonale! — krzyknął promieniejąc z radości. — Cudownie! Znakomicie!

Żona już spała. Upewniwszy się o tem, zasiadł przy biurku i zmieniwszy pismo nabazgrał następujący list starając się o urozmaicenie go przy pomocy jak najgrubszych błędów ortograficznych:

„Do syna kupca Dulinowa. Szanowny Panie! Jeżeli w dniu dzisiejszym (12 września) do 6 wieczorem nie włożysz pan do marmurowej wazy w parku miejskim, na lewo od altanki, sumy 200 rubli, czeka cię śmierć, a sklep sklep twój zostanie wysadzony w powietrze“.

Skończywszy pisanie, począł tańczyć z radości.

— O, to się nazywa przebiegłość! Co? — mruczał zacierając ręce. — To chytrze. Sam dyabeł niewymyśliłby okrutniejszej zemsty. Na kupca uderzą siódme poty ze strachu, zawiadomi policyę, o 6-tej będą żandarmi czekali na złodzieja, który wysłał ten list, i schwytają Degtarewa w chwili, gdy wsadzi rękę do wazy. To będzie nie złe. Zanim się cała historya wyjaśni, będzie kanalii ciepło... Brawo, doskonale!

Turmanow przylepił markę i wysunąwszy się cichutko z domu wrzucił własnoręcznie swój list do najbliższej skrzynki pocztowej, poczem wrócił do domu i zasnął, uśmiechając się rozkosznie. Na drugi dzień zrana, przypomniawszy sobie podczas wstawania o tym żarciku, zagwizdał wesoło i w przystępie dobrego humoru wziął niewinną małżonkę pod brodę. W biurze, siedząc nad rachunkami, uśmiechał się bez przestanku,

wyjmował papierosa z ust, aby zagwizdać sobie jakąś wesołą melodyę.

— Czekaj tylko! Wkrótce poznasz ty co indyk może — myślał sobie Turmanow. — Poczekaj!

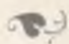
Degtarew zbliżył się do wazy i ostrożnie włożył rękę pod przykrywę... Turmanow stanął na palcach aby lepiej zobaczyć to, co się teraz stanie.

Młody człowiek wydybył ze środka mały liścik, obejrzał go, wzruszył ramionami, otworzył i w tej chwili twarz jego przybrała wyraz najwyższego zdumienia. Wewnątrz znajdowały się dwie „ekaterynki“ z pięknym napisem: 100. Degtarew oglądał je długo na wszystkie strony, nie mogąc wyjść ze zdumienia, lecz nakoniec schował ten dziwaczny, jego zdaniem, bilecik miłosny, do kieszeni i krzyknął głośno:

— Merci!

Nieszczęśliwy Turmanow słyszał ten radosny wylew wdzięczności. Przez cały wieczór stał pod sklepem Dulinowa, wygrażał pięścią w kierunku szyldu i mruczał z wściekłością.

— A ty tchórzu! W twarz nie warto ci plunąć! Zajęcze serce! Strachajło!...



Pomnik Mickiewicza w Tarnowie.

W dniu 26 listopada zeszłego roku odbyło się w Tarnowie odsłonięcie pomnika Mickiewicza. Stary gród Lelewitów idąc za przykładem Warszawy i Krakowa zapragnął dać wyraz swojej czci i hołdu dla narodowego wieszcza i świętej idei, której tenże był przedstawicielem. Wykonanie tego dzieła powierzono jednemu z najgłośniejszych współczesnych rzeźbiarzy polskich — Tadeuszowi Błotnickiemu. Dość spojrzeć na pomnik, aby przyznać, że artysta wywiązał się ze swego zadania znakomicie. Wielki, przeszło metrowej wysokości biust z ciemnego bronzu o sztucznie nadanej zielonawej patynie, przypominającej *„verde antico“* klasycznych posągów, spoczywa na wysokiej kamiennej podstawie tworząc z nią całość piękną i bez zarzutu pod względem architektonicznym i co ważniejsza, estetycznym. Podstawa, wykonana na miejscu według własnoręcznych rysunków Błotnickiego, ma cechy najczystrzego włoskiego renesansu. Na dwóch kondygnacyach stopni wznosi się postument, przechodzący z przodu w hermę, a zakończony w miejsce kapitelu stylizowanym liściem akantu. U dołu zdobi go bogato rzeźbiony torus, wzdłuż którego przewija się bronzowa wstęga otaczająca całą podstawę, od przodu zaś widnieje lira, traktowana w stylu odrodzenia, po której obu stronach wyryte są na również bronzowych szarfach daty urodzenia i śmierci poety. Emblematy te pięknie odbijają od czerwonego koloru kamienia trembowelskiego. Sam biust jest dziełem sztuki w najlepszem tego słowa znaczeniu. Artysta przestudyował sumiennie autentyczne współczesne podobizny poety i stworzył dzieło godne siebie. Twarz Adama, modelowana śmiało zamaszyście, przypomina nieco znany rysunek Horowitza, różni się jednak od niego pewnym wyrazem zadumy i melancholii, rysującym się koło ust i w oczach. Czoło dumnie wzniesione, choć przecięte zmarszczką bólu czy troski, prawdziwe czoło geniusza, znamionuje tę świadomość swego posłannictwa, która pozwoliła poecie zawołać: „Ja i Ojczyzna to jedno!“ Co jeszcze wypada podnieść to niezwykle szczęśliwe związanie biustu z podstawą, — rzecz, która przy więcej swobodnem i oryginalnem traktowaniu pomnika rzadko się udaje; z chybionych prób dość przytoczyć niedawno postawione popiersie Szopena w Paryżu.

Tak więc zyskał Tarnów pomnik, — którym pochlubićby się mogło każde miasto polskie a artysta dał jeden więcej dowód swego niezwykłego talentu.

Pożądanem by było, aby Błotnicki zyskał większe pole do popisu, na którem by mógł rozwinąć wszystkie zalety swego talentu i prawdziwie artystycznych pomysłów, które go przedewszystkiem cechują.



Na wygnaniu.

W papierach po Wiktorze Hugo znaleziono zwój listów z epoki zamachu stanu 1851 roku. Epoka to w życiu poety ważna, bo właśnie wskutek zamachu stanu spędził Wiktor Hugo 20 lat na wygnaniu. Dwaj synowie twórcy „Nędzników“, Karol i Franciszek Wiktor, w chwili zamachu stanu odsiadywali karę w paryskiem więzieniu „Conciergerie“ za przestępstwa prasowe, Wiktor Hugo tedy pozostawił żonę w Paryżu z córką Adelą, sam zaś z synem Karolem, który przed bratem skończył odsiadywanie więzienia, udał się do Brukseli, gdzie pędził żywot słomianego wdowca, a więc żywot prawie kawalerski, który w listach do małżonki opisywał szczegółowo, z zacięciem nie pozbawionem humoru.

W Brukseli Hugo mieszkał naprzód w hotelu de la Porte Verte, w maleńkim, nie ogrzewanym pokoju (a był to właśnie grudzień bardzo mroźny!) i wydawał dziennie 3 franki, aby zaoszczędzić nieco z dochodów literackich na utrzymanie rodziny w Paryżu. W sam dzień Nowego Roku pisze poeta do żony: „Rok kończący się doświadcza nas srogo, boć syn nasz w więzieniu, a ja na wygnaniu. To srogie, ale to nam wyjdzie na dobre, tak samo, jak trochę mrozu wzmacnia zasiewy. Mówcie o mnie przy obiedzie noworocznym, zdaje mi się, że was usłyszę“.

Z ostatniego zdania widać, iż rząd cesarski niezbyt srogo obchodził się z więźniami politycznymi, skoro matka mogła z synem i córką obiadować w więzieniu.

Hugo później dopiero odziedziczył miliony, które mu zapewniły starość spokojną, a nawet dostatki. Życie w Brukseli musiał sobie urządzić bardzo oszczędnie, a nawyknienia do rachowania się z groszem zachował do późnej starości; wiadomo np. że z senatu do dość odległego domu jeździł zawsze omnibusem, mówiąc iż jazda na imperyału przysparza mu wrażeń. „Zdaje mi się —mawiał—że jestem o trzydzieści lat młodszy na „imperyału“, niż w środku omnibusu“. W synów swych nie umiał wpoić zamiłowania do oszczędności, to też nieraz w listach utyskuje: „Żałuję

KARNAWAŁ WIEDEŃSKI.



BAL DWORSKI w BURGU.

bardzo, że synowie mi nie wierzą, gdy mówię, że ten tylko na starość może być odważnym, kto w młodości był rozważnym i przewidującym jutro. Kto wciąż potrzebuje pieniędzy, wpada w ręce spekulantów i jest zgubiony. Najlepszy tego dowód mamy na Dumasie: pracuje od rana do nocy i żyje za 1200 franków rocznie. Mam złe łóżko, jeden stół i dwa stołki wyplatane słomą. Ale wszyscy wiedzą, że jestem silny niezależnością, to też zamówień na prace mam bez liku".

W Brukseli poeta francuski był bardzo szanowany, nawet przez władze miejskie. Na prośbę Wiktora Hugo np. burmistrz kazał pobielić fasadę nowo zbudowanego ratusza, choć według planów budowniczego, fasada ta miała być traktowaną polichromicznie.

Najdalej od zasad ojca odchodził Karol Hugo, który wiódł życie istnego cygana literackiego. Ojciec zawsze spodziewał się poprawy, choć Karol podczas pobytu w Brukseli miał około trzydziestki. Wreszcie Wiktor Hugo zaniechał czynienia synowi uwag, wziął się zaś na sposób skuteczniejszy. W jednym z listów opisuje jeden z takich „sposobów". „Karol obiecuje mi wszystko, ale miękki jest jak wosk i nazajutrz, a nawet w kilka godzin o przyrzeczeniach zapomina. Nie mam mu tego za złe, bo młodość ma swoje prawa, ale od czasu do czasu chciałbym mu dać poznać, że pracuję na was wszystkich, a on zapracowane tak ciężko pieniądze za okno wyrzuca. Jak ci wiadomo, mieszkamy w domu kupca tytoniu, a po północy wejście do mieszkania prowadzi przez sklep. Otóż pewnego dnia Karol wyszedł. Około północy puka służąca do drzwi mego pokoju.

— Proszę! A kto tam?

— To ja. Chciałam się zapytać, czy pan Karol ma klucz od sklepu?

— Nie ma.

— A więc poczekam na niego.

— Nie, idź spać. Sam na niego poczekam.

— Ależ na co, proszę pana, położę się się w sklepie na ladzie i otworzę panu Karolowi.

— Mówiłem ci idź spać!

Służąca, mrucząc, usłuchała rozkazu. Owinąłem się w szlafrok, zabrałem papiery, usiadłem w sklepie przy ladzie i pisałem. Godzina mijała za godziną, sen mnie już morzył, ale wytrwałem. Przyszedł świt, zajaśniało słońce, wreszcie o godz. 5 rano zadzwonił Karol do drzwi.

— Proszę! Drzwi otwarte.

Wszedł i, ujrzawszy mnie pracującego o godz. 5 rano, zarumienił się po białka oczu. Potem, nic nie mówiąc, pocałował mnie w rękę i poszedł do swego pokoju. Sądzę, że będzie to skuteczniejsze od wszelkich nauk i wymówek".

Nasze ryciny.

Na czele dzisiejszego numeru zamieszczamy podobiznę ks. biskupa Józefa Sebastyana Pelczara, który w dniu 13. stycznia b. r. wstąpił uroczyście na przemyską stolicę biskupią. Nowy Pasterz cieszy się ogólną czcią i sympatyą a mianowanie Jego, ogłoszono przez urzędową „Wiener Zeitung" w dniu 10 grudnia r. z. było tylko ucieleśnieniem gorących życzeń sfer duchownych i świeckich naszego społeczeństwa.

Arabowie mają swoje specyalne obrzędy weselne, które budzą podziw a często i śmiech Europejczyków. Dzisiejsza rycina przedstawia pierwsze spotkanie się księcia Tunetańskiego, syna Sidi-Nasser-beya ze swoją dorodną narzeczoną, której ojcem jest Sidi-Mohammed-bey. Oblubienica, przybrana we wspaniałe szaty, z rodzajem tjary na głowie udaje się do mieszkania swego przyszłego męża w towarzystwie drużek, które stosownie do zwyczaju, muszą bić w bębenki, tamtamy i krzyczeć ile im sił staje: „Beneja!!". Przybywszy na miejsce, spuszcza skromnie oczy, czekając na ukazanie się „pana i władcy". Po niejakiej chwili zjawia się narzeczony i ciekawym wzrokiem obrzuca panią swego serca, której nb. nie widział od czasu zaręczyn, t. zn. mniejwięcej od lat 15, gdyż zaprzyjaźnione ze sobą rodziny arabskie zwykły zaręczać swoje dzieci około 6 lub 8 roku życia. Radosne krzyki i iście piekielna muzyka witają oblubieńca. Po chwili młoda para wraz z orszakiem narzeczonego udaje się do osobnej komnaty: podczas tego pochodu, drużki pełnią swój obowiązek, polegający na wyprawianiu niesłychanych wrzasków. Następnym punktem obrzędu jest uczta, do której zasiadają sami mężczyźni, przyczem zasługuje na uwagę, że nikt nie śmie tknąć się obficie zastawionych przysmaków, z wyjątkiem najstarszego gościa przy stole, który ma prawo zjedzenia jednego orzecha! Dopiero wstawszy na głodno od pierwszej biesiady zajmują natychmiast miejsca przy innym stole, gdzie już każdy może dać folgę swemu apetytowi. Gdy już prawa żołądków męskich zostały należycie uwzględnione, wchodzą na salę kobiety wpuszczone przez ennuchów i zaczyna się rabowanie słodyczy, w które obfituje zastawa; po upływie kilku chwil oba stoły robią wrażenie miasta splądrowanego przez armię najezdniczą. W ten sposób zabawia się drużyna weselna przez cały tydzień, wśród koncertów, balów i najprzeróżniejszych rozrywek.

Obyczaje ludów wschodnich.



Wesele tunetańskie.

Pałac cesarski w Pekinie leży w osobnej dzielnicy, zwanej „zakazanem miastem", która jest oddzielona od świata zewnętrznego murami i setką straży. Na wiadomość, że Pekin wzięty, wszyscy Chińczycy uciekli z pałacu, a w „zakazanem mieście" rozłożyły się wojska europejskie. Francuzi zajęli pałac zimowy, Moskale letni, a indyjskie oddziały wojska Wielkiej Brytanii rozbiły swój obóz w „świątyni nieba". W salach audyencyonalnych, gdzie przed rokiem najwyżsi mandaryni padali na twarz przed majestatem „syna słońca" pobrzękują teraz ostrogi żołnierskie i błyszczą szlify oficerów. Śmiałość „białych dyabłów" posunęła się nawet, aż do siadania na tronie cesarskim, wznoszącym się na podwyższeniu pod ścianą olbrzymiej sali przyjęć. Rycina, podana dziś przez nas jest reprodukcyą z fotografii amatorskiej, którą zdjął jeden z francuskich oficerów, korzystając z tego, iż tron „syna niebios" został obsadzony przez żołnierzy goszczących w pałacu. Sam tron jest z drzewa, wielce kunsztownej roboty i tak ustawiony, iż usiadłszy na na nim, jest się zawsze zwróconym twarzą ku północy. Chińczycy tłomaczą to w ten sposób, iż „władca chce oddychać radością i szczęściem, które idzie z północy". Podobne wyjaśnienie niczego jednak, jak się zdaje, nie wyjaśnia!

Lord Roberts, generalissimus armii angielskiej, zgniótłszy, jak sądzono, łeb boerskiej hydrze, wrócił do kraju, witany, rzecz naturalna, szumnymi owacyami. Droga od Southampton do Londynu była jednym wielkim pochodem tryumfalnym zwycięskiego wodza; miasta ofiarowywały mu honorowe obywatelstwo, stowarzyszenia składały kosztowne dary, każdy przyczyniał się czem tylko mógł do uczczenia „bohatera". Niestety, bezlitosny telegraf rychło uciszył zbyt huczne wiwaty doniesieniami o nowych zwycięstwach, odnoszonych przez „zgniecione" wojska boerskie nad „zwycięskimi" synami Albionu. Wieści o porażkach Kitschenera musiały niemało przyczynić się do zmniej-

Z wojny w południowej Afryce.



Lord Roberts wjeżdża do Londynu.

szenia konsumcyi roast-befelu i plumpundingu przy sutych biesiadach, którymi humanitarna Anglia czciła ciemięzcę wolnego narodu...

Bal dworski, który odbył się w tych dniach w Wiedniu, należał do najpiękniejszych wielkich zabaw tego sezonu. W oświetleniu kilku tysięcy lampek elektrycznych, nadzwyczajnym przepychem jaśniały stroje dam, przeważnie, według obecnej mody, przetykane srebrem i złotem. Brylanty i drogie kamienie rzucały całe snopy iskier, wspaniałe bogate uniformy lśniły się od złota haftów i szamerowań. Czarnych fraków było niewiele i te nie zdołały zaciemnić przepychu barw, któremi lśniła się cała sala. Około ósmej napełniły się sale zaproszonymi O godzinie dziesiątej ukazał się cesarz, prowadząc pod rękę księżnę Thyrę Kumberlandzką. Natychmiast utworzył się cercle, a na dany znak, gdy rodzina cesarska wraz z dworem zajęła estradę, rozpoczęto tańce. Bal otworzył hr. Piotr Szegenyi z młodziutką arcyksiężną przy dźwiękach Strausowskiego walca. Tańczono bardzo dużo, przeważnie walce i kadryle. Po pierwszym kadrylu udała się arcyksiężna Marya Józefa do małej redutowej sali i tam nastąpiły prezentacye dam, pierwszy raz mających przystęp do dworu. O godzinie jedenastej oddalił się cesarz z sal balowych, a z nim udał się cały dwór. O godzinie dwunastej było już po balu.

KRONIKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

LITERATURA.

* Tymi dniami zmarł w Paryżu książę Broglie, członek akademii francuskiej. Zmarły był namiętnym wojowniczym politykiem, a równocześnie znakomitym historykiem i publicystą, przedewszystkiem jednak błyszczał nieposzlakowanym i pięknym charakterem, odbijającym się jasno na dzisiejszem tle obecnej Francyi, to też i liczni przeciwnicy polityczni ks. Broglie z uszanowaniem i czcią chylą głowę przed szlachetną postacią zmarłego. Długi szereg wielorakich prac ks. Broglie obejmował szerokie horyzonty myśli w przeszłości i teraźniejszości. Do najcelniejszych należą, *Le secret du Roi* (z czasów Ludwika XV) studya nad polityką francuzką w 18 wieku, wojną siedmioletnią, Fryderykiem Wielkim, dalej wielkie kilkutomowe dzieło pn. „Kościół i cesarstwo rzymskie w IV wieku" i dalszy jego ciąg o Julijanie Apostacie.

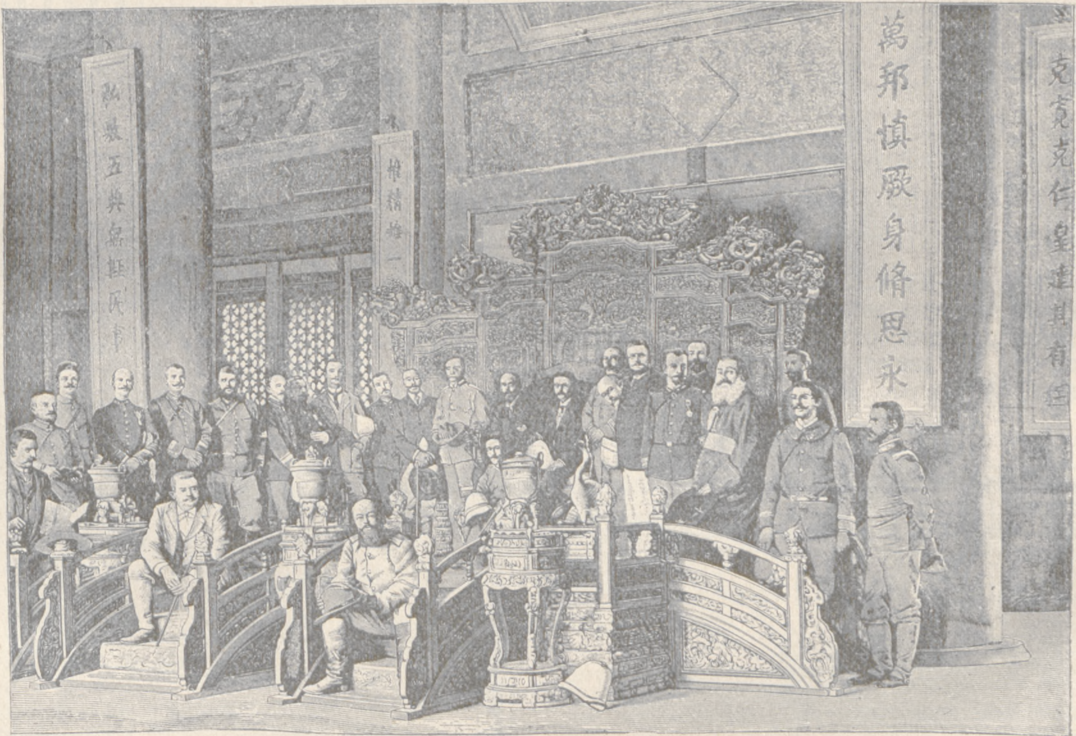
* Juliusz Barbier, poeta, dramaturg i librecista, zmarł w Paryżu, skutkiem ataku apoplektycznego. Urodzony w r. 1821 w Paryżu, w 25-ym roku życia debiutował dramatem p. t. „Poeta", który zyskał powodzenie. Wespół z Michałem Carre napisał szereg dramatów i wodewilów, nadto libretta do wielu oper, a między temi do „Fausta", „Dinory", „Romea i Julii", „Mignon" itd. W spuściźnie po nim znajduje je się dramat rewolucyjny p. t. „Dzieci wolności", oraz sztuka wierszem, odrzucona przez Sarę Bernhardt po przeczytaniu. Barbier, którego utwory miały zawsze powodzenie, nie mógł tej odmowy przeboleć. W ogłoszeniach o śmierci jego nie dodano, jak nam donoszą z Paryża, że był oficerem legii honorowej, a to na specyalne, wyrażone przed śmiercią, żądanie nieboszczyka. Od czasu procesu Zoli, Barbier nie nosił czerwonej wstążeczki orderowej.

TEATR i MUZYKA.

* Nowym kapelmistrzem opery lwowskiej został w miejsce Czelanskiego p. Franciszek Spettrino, znany dyrektor operowy włoski. P. Spettrino był dłuższy czas w Warszawie, gdzie działalność jego cieszyła się wielkiem uznaniem. Swoją drogą wątpić należy, czy rozwydrzona orkiestra lwowska nie zechce go wygryźć taksamo jak wygryzła p. Czelanskiego. Dla tamtejszych stosunków możliwy jest tylko taki kapelmistrz, któryby broń Boże nie żądał od podwładnych muzyków subordynacyi i pracy.

— Witraż artysty-malarza p. Mehoffera: „La jeunesse de l'art" przyniosło w reprodukcyi wydawnictwo sztuce poświęcone p. t. „Salon Friborgois." Przedstawia on sztukę usymbolizowaną jako ptaka rajskiego, o barwnem upierzeniu, siedzącego wśród przepysznych kwiatów i odbierającego hołd od Muzy z pochodnią w ręce. Witraż wykonany w szkle przez fabrykę Kirscha i Flecknera, wystawiony był r. z. w Fryburgu. W tym samym zeszycie są również reprodukcye jednego z dawniejszych witraży p. Mehoffera przeznaczonego dla katedry fryburskiej. Objaśnienia reprodukcyi, pełno pochwał dla talentu artysty, napisał o. Berthier, Dominikanin.

Z wojny chińskiej.



„Białe dyabły" na tronie „Syna niebios".

Listy z linii „A-B".

XII.

Ma każde miasto swe odrębne cechy
I właściwości dla których je cenim.
Paryż ma modę i wesołe grzechy,
Warszawę grodem nazwano „syrenim",
Wiedeń — rozkoszną siedzibą Feaków —
Pytanie jaką cechę ma nasz Kraków?
Nie myślcie, że tu panegiryk wytnę
I że pokażę światu roztkliwiony
Wysokie wieże, mury starożytne,
Złote ołtarze lub spiżowe dzwony...
Jako krakowiak nie obrażę was tem,
Że nazwę Kraków: „prób wieczystych miastem".
Czego tu bowiem już nie próbowano!
I polityki były różne próbki,
(Jeśliś ciekawy — przysłuchaj się rano
Co mówią o niej krakowskie przekupki)
I próbowano, (trzeba wiarę dać mi)
Wmówić, że żydzi są naszymi braćmi.
I brukowania próbowano w mieście,
Kanalizacyi był też projekt ongi
A dzisiaj przyszła już kolej nareszcie
Na „elektrykę" i na wodociągi.
Kto tylko patrzy na tę awanturę,
Przyzna, że próby wlazły nam za skórę.
Prócz złego bruku, błota, innych szykan,
Powszechnych u nas — pamiętaj przechodniu,
Gdy z przeproszeniem nie chcesz być osikan,
Ile możności nie chodź w mieście po dniu!
Na co wyjaśnień i nieporozumień,
Gdy komuś na łeb puszczą wody strumień?
Nic w tem strasznego nie ma Bogu dzięki,
Byleśmy nieszczęść nie mieli stąd więcej,
Że może pannie X. zmokną sukienki,
Albo dostanie pan Z. influenzy,
Nie wielka szkoda dla ogółu miasta.
Lecz wodociągi będziem mieć — i basta!
Humorystyki tu jest wdzięczna niwa,
I najzawziętszy rankor uspokaja,
Oto krakowska szopka jest prawdziwa,
Lepsza niż księdza Flisa lub Łabaja,
Sam się z niej chętnie śmieję, chociaż besztam.
Myślicie, że to koniec? Ale gdzież tam!
Szkoła ludowa kocha się w symbolach
I z ostentacyą aż nadto widomą,
Aby przypomnieć o niwach i polach
Chętnie się nawet posługuje — słomą.
Na raucie bowiem, w ciemnej saskiej sali
Dziury w wentylach — słomą zatykali.
Nie złym, doprawdy, jest przecie nasz Kraków!
Przyznać mu muszę, gdy przypomnę sobie,
Że mimo różnych i rażących braków,
I szyb wybitych w ciemnej garderobie,
Na raucie owym hulał bez pamięci,
Widząc, że środki — cel poczciwy święci.
Bawcie się! Tylko pilnujcie też, aby
Nic nie zarobił przy was chrześcijanin,
Od czegoż bowiem są żydy i szwaby,
Którzy od wieków żyją z naszych danin?
Dojdzie do tego że na własnej ziemi,
Będzie żył polak — pomiędzy obcemi!!

Amaris.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**